NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 85 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień“, Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 4 września 1920. Nr. 36.

Młodzi bohaterowie



Młodzi bohaterowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Widzieliśmy ich, niespełna miesiąc temu, gdy oddziałami spieszyli na dworzec kolejowy, aby się udać na front.

Były to prawie jeszcze dzieci, które dopiero opuściły szkolną ławę, ale w oczach ich tlił taki zapał, że serca rosły patrzącym na nich, a nadzieja ogarniała już nawet zwątpiałych. Zapał ich udzielał się i starszym i mimowoli odzywały się gdzieś w głębi wyrzuty sumienia, że wysyłają tę młodzież na straconą, jak się wydawało placówkę, gdy tymczasem sami choć mogli, nie spełnili swego świętego obowiązku.



Wieści z Pomorza: Sosna na Helu.

Poszli, żegnani serdecznie kwiatami i łzami, aby zasłonić byt zagrożonej Ojczyzny, która zwróciła się do swych obywateli o ratunek. Obywatelami poczuli się ci, którzy mieli nimi być dopiero w przyszłości.

I niewiele czasu upłynęło od tej chwili, a nadbiegła do nas wieść radosna, że te dzieci godnie spełniły swój święty obowiązek. Stał się cud, wiara i ufność w świętość sprawy, za którą walczą, potroiła ich siły, okazali, że „wielka ich czynów potęga, a jako piorun ich ramie!"

Jak piorun uderzyli na wroga pewnego już ostatecznego zwycięstwa i starli go na miazgę. Swiecili przykładem starym żołnierzom, oswojonym już z okropnościami wojny, spoglądającym przedtem na nich z politowaniem i nieufnością. Do wieńca sławy, zdobiącego polskie sztandary, słabe ich ręce dodały nowe liście wawrzynu.

Naoczni świadkowie ich walk, na podstawie których relacyi odtworzył ołówek artysty jeden z momentów będących wynikiem tych prawdziwie tytanicznych zapasów w obronie Warszawy. nie mają wprost słów na skreślenie ich męstwa i zapału, któremu żadna przemoc oprzeć się nie była w stanie.

Spełnili godnie obywatelski obowiązek za siebie i za starszych, a Ojczyzna zaciągnęła wobec nich dług, niczem się spłacić nie dający.

Naród, który ma takich synów zginąć nie może. Wrócą do nas jak prawdziwi bohaterowie tryumfatorzy, którzy uratowali byt i honor Ojczyzny.

Cześć im za to i niespożyta chwała, cześć matkom, które wychowały takie pokolenie!... Polska może być spokojną, mając takich obrońców!...

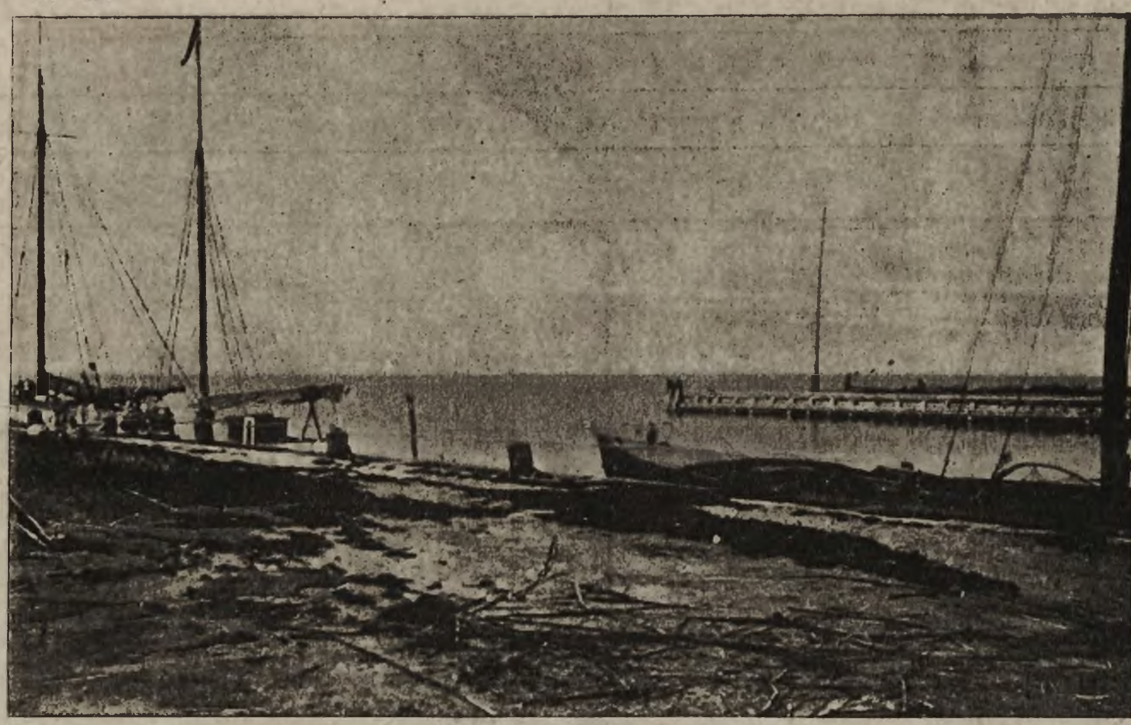
Wieści z Pomorza.

W ostatnich czasach dochodziły do nas wiadomości, że na Pomorzu ukazały się nieprzychylne objawy względem państwa polskiego. Do delegata angielskiego w Gdańsku miała udać się nawet deputacya rybaków kaszubskich z prośbą o wcielenie Kaszub do wolnego miasta Gdańska. Będąc świeżo na Pomorzu i objechawszy całą północną jego część i wybrzeże, miałem sposobność przekonać się o całej prawdzie. Nigdzie nie umiano mię objaśnić kiedy i skąd udała się „deputacya" i kto w niej uczestniczył, więc widać, że musiała być samozwańcza, albo też zamówiona przez kogoś kto jej potrzebował.

W połowie XIX wieku rząd pruski na końcu półwyspu Helu założył osadę z wysłużonych marynarzy niemieckich, ewangelików, dla zaszczepienia swego żywiołu, a ci niemieccy rybacy, czy to w głosowaniu za posłem niemieckim, czy w innych sprawach narodowych, występują stale pod nazwą „rybaków kaszubskich". Właściwi rybacy polscy z wybrzeża morskiego wyraźnie prostowali w gazetach mniemanie, jakoby mieli głosować na niemieckiego posła, objaśniając to robotą sąsiadów osadników.

Nie da się jednakowo zaprzeczyć, że ludność pomorska, a zwłaszcza kaszubska, zawiodła się na rządzie polskim. Rząd niemiecki opiekował się gorliwie temi stronami i z jednej strony przemocą nad opornymi, a z drugiej przez czynienie udogodnień i wygód wszelkiego rodzaju ziednywał sobie ludność dla swych celów. Ziemia na Pomorzu piaszczysta i nieurodzajna, praca rybaka bardzo ciężka i przynosząca nader skromny zarobek, tak, że bez pomocy z głębi kraju trudno wyżyć, tymczasem rząd polski dotąd w niczem nie przychodził z pomocą ludności.

Dawniej rybacy zakupowali bawełnę na sieci, ubranie, buty, smary i benzynę do łodzi motorowych i t. d. w Gdańsku, obecnie Gdańsk tworzy obce państwo, marka niemiecka w Gdańsku stoi pięć razy wyżej od polskiej, a żywność w Gdańsku



Wieści z Pomorza Port w Pucku.



Kutry rybackie na Małem Morzu pod Jastarnią.

Wieści z Pomorza:



Przy ujściu strumienia pod Kolebkami.

tak droga, że najlepszym zyskiem jest przemycanie żywności, co też rozwinęło się w sposób niebywały, a co w straszliwy sposób demoralizuje ludność. — Smary i benzyna u nas w kraju jest, bawełnę można było kupić tanio w Rumunii, ale nim pojechała komisya, która jak było na prawdę, czy też jak twierdzą złośliwi, miała być wybrana wedle klucza partyjnego, bawełnę z kupił kto inny. Obecnie Sejm przeznaczył dla Kaszubów sto milionów marek na zakupy towarów, a Towarzystwo kresów pomorskich, mające oddział swój w Łodzi, stara się o dostarczenie po niskich cenach wyrobów łódzkich. — Miejmy nadzieję, że Kaszubi uzyskawszy wydatną pomoc od rządu więcej przywiążą się do Rzeczypospolitej.

Ze Pomorze, mimo agitacyi niemiecko anonimowej czuje się polskiem o bezwzględnej większości, świadczy zachowanie się wobec niepowodzeń naszych



Nasi wodzowie Jenerał Jędrzejowski dowódca VI. armii ze swym sztabem.

ze strony bolszewików. Gdy niemieccy robotnicy w Gdańsku, jawnie opłaceni przez Niemców Rzeszy nie chcieli wyładowywać amunicyę z okrętu „Tryton", a gdy ją wyładowali angielscy żołnierze, a trzeba było znowu z berlinek przeładowywać ją w Tczewie na kolej żelazną, pospieszyli ochotnicy, robotnicy polscy i członkowie „Straży" i miast pomorskich, którzy wykonali nader szybko tę pracę. Już za zjawieniem się na Pomorzu generała Hallera utworzono pułki ochotników, które poszły

na front bolszewicki, a obecnie całe zastępy ochotników, przeważnie wysłużonych w dawnem niemieckim wojsku, zgłaszają się w szeregi. Liczba ochotników przeszła wszelkie oczekiwania. Utworzono osobno oddział ochotników Kaszubów.

Obecnie gdy nasz kraj zespolił się wewnątrz i gdy nowy rząd daje rękojmię zaprowadzenia prawdziwego ładu i wydawania rozumnych i konsekwentnych zarządzeń, Pomorzanin przyzwyczajony wśród ciężkiej pracy do sumienności i porządku powita z radością ten nowy okres naszego życia państwowego i nie poskąpi trudu dla dobra całości Ojczyzny.

X. dr Tadeusz Kruszyński
prezes Małopolskiego Tow. Kresów Pomorskich.

Nasi wodzowie.

Świetne tradycye armii polskiej, która niegdyś podziwem napełniała świat cały, odżyły na nowo. Męstwo polskiego żołnierza musieli uznać i wrogowie, a rządy mocarstw zaborczych słały z zasady polskie pułki tam, gdzie groziło największe niebezpieczeństwo. Taka szarża pod Rokitną lub przebicie się Hallera w głąb Rosyi, to czyny militarne pierwszorzędnego znaczenia.

Z chwilą, gdy rozpoczęliśmy byt samodzielny i zorganizowaliśmy własną armię, wszelkie jej sukcesy zapisujemy na własny rachunek, gdy przedtem musieliśmy je odstępować innym.

Choć w trudnych warunkach sformowana i do dnia dzisiejszego musząca walczyć z najróżnorodniejszymi brakami, w drugim roku swego właściwego istnienia ma armia polska tyle już zapisanych kart w swych dziejach, że może ona śmiało stanowić naszą dumę narodową.

Zasługa, że tak jest, musi być podzielona. Część jej należy się wytrawnemu dowództwu, część zaś męstwu i poświęceniu żołnierzy, nie mającem wprost granic. Gdy nasz żołnierz walczył odziany w obcy mundur, był wzorem żołnierza, gdy znalazł się pod własnymi sztandarami, spełnia swe obowiązki tem gorliwiej, wiedząc, że życie swe niesie nie dla obcych, szczerze mu wrogich rządów, lecz dla swego kraju.

Powiadają, że każdy Polak to urodzony żołnierz że tak jest, to widzimy dziś najlepiej, będąc prawie naocznymi świadkami przewag armii polskiej na każdym froncie.

Wiele też zależy od kierownictwa umiejętnego, wymagającego wiele, a przecie wyrozumiałego.

A takiem kierownictwem możemy się właśnie poszczycić. W naszej armii jest wódz kierownikiem i przełożonym, wymagającym od żołnierza bezwzględnego posłuszeństwa, ale jest zarazem i jego towarzyszem broni, dzielącym z nim dolę i niedolę żołnierskiego żywota.

U nas przełożonego nie oddziela taki chiński mur od podwładnych, jak to miało miejsce w Austryi lub w Niemczech, gdzie pierwszemu lepszemu



Zmiany w Dowództwie kr. Okr. Gen.: Generał-porucznik Antoni Symon mianowany dowódcą O. G. Grudziąca.



Nasi wodzowie: Generał Konarzewski, ozdobiony za ostatnie zwycięskie walki z bolszewikami krzyżem „Virtuti Militari".

lajtnanciście zdawało się, że jest Panem Bogiem dla żołnierza, a co najgorsza, że jest ulepiony z zupełnie innej, niż on, daleko szlachetniejszej gliny. Nie miał go też, jak to mówią „za psie poszycie", ale też i żołnierz nie darzył nawzajem swego przełożonego zaufaniem, widząc w nim raczej wroga, a nie przyjaciela i opiekuna.

U nas jest zupełnie inny, i to bez względu na stopień hierarchii wojskowej. Przełożeni od najwyższego do najniższego, uznają żołnierza za człowieka i odpowiednio go traktują, co może niepodobać się tym, którzy sami wyszli z austryackiej lub niemieckiej szkoły i nie mogą zapomnieć tej powagi, jaka ich otaczała jako c. i k. feldweblów lub lejtnantów, wytykają też na każdym kroku brak subordynacyi, nie mogąc w swych ciasnych móżgach pojąć, jak żołnierz może się odnosić do przełożonego z zaufaniem.

Ale zdrowo na świat patrzący widzą dobre skutki tego postępowania, przynoszącego tylko krajowi, bezpośrednio samej armii, a ponadto ogółowi, mogącemu każdej chwili liczyć poważnie na takich obrońców.

Słyszy się także utyskiwania, że niektórzy z dowódców, nawet na najwyższych stanowiskach, nie mają „fachowego wyszkolenia", co rozumieją zdaje się w ten sposób, iż nie wpajał im zasad

strategii kapral, a od czasu do czasu pan leitnant lub nawet kapitan, nie mający sam o niej pojęcia.

Co zresztą znaczy „fachowe wyszkolenie“, to pokazała ostatnia wojna, gdzie bardzo mądrzy jenerałowie błaźnili się jeden po drugim.

Armia polska istnieje dopiero drugi rok, nie mogła sobie więc sama wykształcić dowódców, ale zmuszoną była wziąć ich z wszystkich trzech zaborów, a przyznać trzeba, że zrobiła dobry wybór.

Tym „fachowego wyszkolenia“ chyba nikt nie odmówi.

Są wprawdzie nawet i na wysokich stanowiskach dowódcy, których dopiero wojna powołała w szeregi, ci jednak, to właśnie owi „urodzeni żołnierze“, którzy rutyny nabrali na polu bitwy, a nie na placu ćwiczeń!

Daj nam Boże takich jak najwięcej!...

Wogóle armia polska, tak jako całość, jakoteż i co do poszczególnych jednostek w skład jej wchodzących, to zespół tak doborowy, że drugiego podobnego długo trzeba szukać i wie też Rosya, co robi, żądając w warunkach pokojowych jej rozbrojenia i ograniczenia do *minimum*, co się przecież nie stanie, chyba, gdyby wszystkie państwa postąpiły w ten sam sposób.

Ostatnie stłumienie ofenzywy rosyjskiej pod Warszawą i Lwowem to dowód, ile warta nasza armia, jakich mamy dowódców i żołnierzy. Jenerał francuski Weygand, wyjeżdżając z Warszawy, zaznaczył wyraźnie, że ostatnie zwycięstwo nad Wisłą, to dzieło polskiego dowództwa i polskiego męstwa i poświęcenia.

W niniejszym numerze podajemy podobizny kilku wybitnych dowódców armii polskiej.

Zmiany w Dowództwie krak. Okr. Gen.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma zamieściliśmy wzmiankę o ustąpieniu z krakowskiego D. O. G. jenerała-porucznika Antoniego Symona, dziś podajemy bliższe szczegóły wedle komunikatu, nadesłanego nam przez Oddział informacyjny Okręgu Generalnego w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu nastąpiły ważne zmiany na kierujących stanowiskach krakowskiego D. O. G. Dowódca O. Gen. jenerał-porucznik Antoni Symon i szef Sztabu podpułkownik Stefan Iwanowski ustąpili, powołani na inny ważny posterunek.

Jenerał Symon w ciągu swojego półtorarocznego kierownictwa tutejszego D. O. G. zapisał się jak najlepiej w pamięci zarówno podległych mu wojskowych jak szerokich kół obywatelskich. Stojąc na tak odpowiedzialnem stanowisku umiał znakomicie pogodzić obowiązki dowódcy z zadaniami obywatela polskiego. Niezasklepiony w duchu jakiejkolwiek formalistyki, miał serce i umysł otwarte na wymogi chwili, umiał iść z duchem czasu i dostosować się do nowego obywatelskiego typu wojskowości. Przykładną pracowitością, obywatelskim



Nasi wodzowie: Generał Władysław Sikorski, komendant armii północnej.

duchem, a przedewszystkiem pięknie utrzymaną prostą linią żołnierską, tak ważną w chwili obecnej, pozyskał sobie jaknajszersze koła tutejszego obywatelstwa, czego wyrazem było serdeczne pożegnanie w dniu wyjazdu na dworcu kolejowym ze strony przedstawicieli prezydyum miasta, starostwa i K. O. P. Jenerał Symon powołany został na stanowisko Dowódcy O. Gen. w Grudziądzu, tak ważnego posterunku w chwili obecnej wojny.

Równie dobrą pamięć zostawił po sobie szef Sztabu D. O. G. podpułkownik Iwanowski, który w tydzień potem odszedł powołany na stanowisko szefa sztabu jednej z armii, walczących pod Warszawą.

Podpułkownik Iwanowski, były oficer legionowy z II Brygady karpackiej i wierny towarzysz pamiętnych prac i trudów wojennych jenerała Hallera, znalazłszy się na odpowiedzialnym stanowisku szefa Sztabu umiał znakomicie pogodzić zadania ideowego żołnierza, wychowanego w legionowych formacyach, z obowiązkami dyscyplinowanego wojska, z którego duchem i rygorem miał sposobność się zapoznać czy to w twardej szkole beselerowskiej, czy to nowoczesnym duchem owianej szkole francuskiej. Dzięki tym właśnie zaletom, popartym młodą energią podpułkownik Iwanowski umiał dotychczasowe różnice sprowadzać do wspólnego mianownika służby Ojczyźnie, zdobywając sobie uznanie ze strony przełożonych, kolegów i podwładnych. Świadczy o tem serdeczne pożegnanie na koleżeńskim wspólnym obiedzie ze strony korpusu oficerskiego.

W miejsce jenerała Symona stanowisko Dowódcy objął jenerał Zegadłowicz, znany szerokim kołom obywatelstwa z czasu, gdy kierował Dow. Okręgu tut., szefem sztabu zamianowany został pułkownik Tullie przeniesiony z D. O. G. Lwów.

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.



Zmiany w Dowództwie krak. Okr. Gen.: Uczestnicy pożegnania podpułkownika Stefana Iwanowskiego. (X) Fot. Stenger D. O. G.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

7 I.

– Nie. Idź, Róża, idź – zwróciła się życzliwie do służącej.

– Więc panienka, absolutnie niczego nie potrzebuje – szepnęła Róża, powstając z wahaniem.

– Niczego. Ja także udam się już na spoczynek.

– Ty, zostań! – rzekł Mojżesz do Racheli.

– Dlaczego?

– Muszę z tobą pomówić!

Rachela potrząsnęła smutnie głową i usiadła z powrotem.

– Pan znowu zacznie męczyć tę, biedną dziewczynę – zawołała służąca z oburzeniem.

– Wynoś się Różo! Chcę pomówić z moją córką – zawołał stary rozgniewany.

– Idę, idę... ale do czego to podobne... Dobranoc panienko... Nie trzeba się martwić. Na gadanie ludzkie lepiej nie zwracać uwagi.

– Różo!

– Dobranoc, dobranoc...

Zapaliła świecę i przeszła do maleńkiego pokoiku za kuchnią.

Mojżesz Kabib przeczekał parę minut, aby być pewnym, że już nie powróci. Rachela oczekiwała na przemówienie ojca z rezygnacyą.

Stary patrzał na nią i pomimo wszystko uczucie dumy ogarnęło go widząc ją teraz tak piękną, z tym wyrazem powagi i melancholii na twarzy.

– Rachelo, czy wiesz kogo widziałem dzisiaj – przerwał wkońcu milczenie.

– Kogo?

– Osobę, której nie lubisz.

– A więc nie mów mi o niej ojcze – rzekła, blednąc, bo odgadła o kogo chodziło.

– Muszę ci o nim mówić. Widziałem mistrza.

– Oh! mój Boże! – szepnęła, zakrywając twarz rękami.

– Jest znowu tutaj.

– Sądziłam, że odjechał na zawsze!

– Odjeżdża... i wraca zawsze... on jest wiecznym tułaczem... on jest tym, który powraca zawsze – wymówił starzec tajemniczym głosem.

– Dlaczegóż on powraca znowu? Czego on chce? Niechże już raz od nas odejdzie – odparła gwałtownie.

– On ma swoje powody. Nikt je nie zna. On jest panem naszym, Rachelo, szanuj go.

– Nie znam go; szanuję tylko Boga i ciebie.

– On więcej wart odemnie.

– Ale mniej od Boga! – zawołała żywo.

– Szanuj go! szanuj go!

– Niewiem kim on jest; nie chcę o tem wiedzieć! – odpowiedziała twardo.

Ojciec i córka spoglądali przez chwilę na siebie; stary z lękiem i niepokojem, Rachela pełna buntu i gniewu.

– Rachelo, pożałujesz swojej dumy – podjął pokornie stary.

– Nie, ojcze.

– Mistrz jest potężny.

– Bóg jeden jest potężny, ojcze.

– On jest blisko Boga, Rachelo.

– Nie bluźnij, ojcze! – szepnęła, blednąc okropnie.

– Wierz mi, on może cię uczynić silną i sławną.

– Nie chcę tego przy nim!

– Wszystkie tajemnice znane mu są, Rachelo, a w sercach ludzkich czyta jak w książkach. Może być bogatszym od króla, większym od cesarza i to wszystko danem ci będzie – wyrzekł stary podnieconym głosem, z gorejącemi ekstazą oczami.

– Nienawidzę go – odpowiedziała, wstrząsając się.

– Czy ty nie jesteś ambitną? Czy nie chcesz wyjść z nędzy tego domu? Czy nie chcesz nałożyć dyademu z brylantów na swoje czarne włosy i naszyjnika z pereł zawiesić na szyi? Czy nie chcesz być przyjmowana przez chrześcian, z pochlebstwami i szacunkiem. Jeden tylko mistrz, może ci dać to wszystko – rzekł stary kusiciel, marząc o tryumfach swojego dziecka.

– Nie, nie chcę od niego – odpowiedziała zimno.

– Chcesz więdnąć u ciemności?

– Tak.

– W nędzy?

– Tak.

– Twoja piękność zmarnieje tutaj.

– Niech się tak stanie.

– Jesteś szaloną, Rachelo; ten nędzny, blady, młody człowiek jest twojem nieszczęściem – krzyknął stary z wściekłością.



Zapaliła świecę i przeszła do maleńkiego pokoiku za kuchnią.

Nie odpowiedziała, tylko ciemny rumieniec pokrył jej twarz, na tę obelgę, rzuconą na człowieka, którego kochała nadewszystko.

– Założę się, że widziałaś się z nim dzisiaj – zawołał Mojżesz Kabib, rzucając gniewnie fajkę swoją na stół.

Rachela milczała.

– Widziałaś go? prawda? widziałaś? – krzyknął znowu stary, a oczy jego rzucały błyskawice gniewu.

– Co ci na tem zależy mój ojcze – odpowiedziała łagodnie, odwracając głowę.

– Co mnie to obchodzi? Zabierają mi córkę i mam na to zezwolić?

– Jestem jeszcze tutaj – uśmiechnęła się dziwnie.

– Ale serce twoje jest gdzieindziej i dusza twoja także. Oh! wiem dobrze! Kiedy milczysz, myśli twoje idą do niego.

– Nie można więzić dusz i serc – szepnęła cicho.

– Widziałaś go!

– Czy go widzę, czy nie widzę, to jest wszystko jedno, ojcze.

– Zamknę cię w domu Rachelo – zagroził stary.

– Uczynisz ojcze jak zechcesz – odparła Rachela, dętwiając w zimnej obojętności.

– Nie ujrzysz go nigdy więcej!

– Jak chcesz, ojcze.

– Zabronię mu raz na zawsze przychodzić tutaj, na tę ulicę, zabronię mu spotykać się z tobą gdzieindziej. Nie spotkasz go nigdy.

Rachela pochyliła nisko głowę.

– Ranieri Lambertini nie kocha cię – zaczą znowu Mojżesz świszczącym głosem. Pierwsza lepsza kobieta roznieca miłość w jego sercu. Obecnie rozkochany jest w pewnej, pięknej wenecyance.

– To nieprawda – odrzekła Rachela natychmiast.

– Na Boga naszego, to jest prawda!

– Nie wierzę ci.

– Nie wierzysz swojemu ojcu?

– Chcesz mnie oszukać, by zabić moją miłość dla niego.

– Chcesz mieć dowody jego zdrady?

– Nawet gdybym je miała, wierzyć nie będę. Ranieri Lambertini do mnie należy.

– Izraelitka nie może być ani żoną ani kochanką chrześcianina – wyrzekł starzec poważnie.

– Wiem o tem – odpowiedziała hardo.

– A więc?

– A więc, kocham go i kochać zawsze będę.

– To szaleństwo!

– Które trwać będzie całe życie.

– On cię nie kocha; on cię opuści.

– Niechby! ja kochać go nie przestanę!

– Pomimo zakazu ojca? Pomimo Boga twoich przodków. Pomimo wszystko!

– Ani ojciec mój, ani Bóg nie mogą być tak okrutni względem mnie.

– Będą – krzyknął starzec, powstając nagle.

Zdawało się, że gniew wyolbrzymił go.

– A więc tak! Pomimo wszystko!

– Zabiję go, Rachelo! – zawył starzec, nie panując już nad sobą.

– Miejmy nadzieję, że nie – rzekła z nadzwyczajną słodyczą.

– Nie ja! jestem stary, a on młody; ale on umrze.

– Zabije go mistrz!

– Toby było wielkiem złem ojcze.

– Mistrz go zabije! On ma tyle broni, które zabijają pewnie tyle trucizn nie pozostawiających śladów. Mistrz jest panem śmierci. Ranieri Lambertini jest dla niego przeszkodą – Ranieri Lambertini umrze!

– Bóg na to nie pozwoli – odparła dziewczyna, drżąc całem ciałem, panując jednak nad swojem wzruszeniem.

– Bóg jest z mistrzem – Ranieri Lambertini umrzeć musi.

– To umrze nie sam! – zawołała, porzucając swoją łagodną oziębłość.

– Co mówisz?

– Mówię, że Ranieri Lambertini sam nie umrze.

– Rachelo!

– W godzinę po nim, połączę się z nim – wyrzekła z taką siłą, że stary wyszeptał z lękiem.

– Uczyniłabyś to, Rachelo?

– Tak.

– Oh! Przekleństwo jest nademną! Życie moje kończy się! – jęknął Mojżesz Kabib, opadając bezsilnie na krzesło.

– Ojcze, ten Mazens Henner jest nędznikiem – wyrzekła Rachela gwałtownie, lecz przybliżyła się do ojca, który szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

– Nie nazywaj go jego imieniem! Nazywaj go „mistrzem“. Imię jego przynosi nieszczęście! Mało osób je zna, a on je ukrywa. Mazens Henner nie żyje – on jest mistrzem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

10 I.

— A ja ci radzę, żebyś dobrze obliczyła swój posag, czy starczy go na zapłacenie długów twojego pokręconego hrabiego — szepnęła przez zęby.

— Sklepiczarka!

— Dziewka od szlachtuza! — syknęło w powietrzu jak dwie strzały.

Gwar rozmów pokrył ich słowa.

Kiedy Kazia powróciła do swojego stolika, usta jej drżały jeszcze nerwowo, a w oczach nie przygasły jeszcze iskierki gniewu, wywołane tem nagłem starciem.

— Co ci jest? — zapytała cicho Terlecka, przypatrując jej się ciekawie. — Rozmawiałyście z Wiktą? Co ci powiedziała?

— Później ci powiem! Teraz chodźmy stąd! — zwróciła się Kazia do mężczyzn, zajętych ożywioną rozmową. — Towarzystwo jest tu niemożliwe.

Wkrótce potem wszyscy czworo wchodzili do restauracyi Pollera.

Kazia roześmiana i rozbawiona przekomarzała się ze swoim towarzyszem, kalecząc w niemożliwy sposób słowa francuskie, które z trudnością wyławiała z pamięci. Jankę Terlecką zaś, zajął zupełnie sobą młody oficer halerczyk.

Obiad, przy którym wypróżniono parę butelek wina, przeciągnął się do piątej godziny. Francuz zaproponował w końcu przejażdżkę po błoniach, którą wszyscy przyjęli z radością, pragnąc ochłodzić się trochę po dusznej atmosferze restauracyjnej sali.

Kiedy po godzinie powracali do miasta, Kazia była tak oszołomiona jeszcze zabawą i ilością wypitego wina przy obiedzie, że bez trudu dała się namówić na wstąpienie do mieszkania Francuza na czarną kawę i likiery. Była przytem tak rozpromieniona i zadowolona z obietnicy wyrażonej przez niego, że następnego dnia popołudniu zjawi się już jako oficyalny jej konkurent w domu rodziców — że nie chciała mu odmawiać i urazić brakiem zaufania.

Likier jednak okazał się tak mocny, że po wysączeniu paru kieliszków z Kazią zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Zaczęła śmiać się spazmatycznie, śpiewać, w końcu dostała takiego zawrotu głowy, że straciła zupełnie świadomość, co się z nią dzieje.

Pokój cały wraz z sprzętami zaczął wirować wokoło niej, nie wiedziała gdzie jest, kto do niej mówi, jakaś oszałamiająca senność ogarniać ją zaczęła i bezsilna, osłabiona, opadła ciężko na poduszki kanapy, pogrążając się w ciężkie odrętwienie.

Kiedy powróciła do przytomności, ciemność już zalegała pokój.

W pierwszej chwili zoryentować się zupełnie nie mogła, gdzie się znajduje. Głowa jej ciężyła nieznośnie, myśli leniwe, niejasne snuły się po mózgu.

Dopiero po pewnym czasie, przyzwyczaiwszy się trochę do ciemności, zalegających pokój, zaledwie trochę rozjaśnionego blaskiem latarni, świecącej na ulicy, rozpoznała, że znajduje się jeszcze w mieszkaniu oficera francuskiego.

Janki Terleckiej i jej towarzysza nie było...

Okrzyk przerażenia i gniewu wybiegł z piersi Kazi... Krzyk ten wywabił z drugiego pokoju Francuza. Kazia w gwałtownych, prawie niezrozumiałych dla swojego towarzysza słowach, poprawiając gorączkowo rozwichrzone włosy, zażądała wyjaśnień.

Francuz, z miłym uśmiechem na ustach, grzeczny, usłużny, starał się ją uspokoić, obiecując uroczyście, iż nazajutrz zjawi się u jej rodziców z zamiarem proszenia o jej rękę.

Zapewnienie to rzeczywiście uspokoiło trochę Kazię, choć na dnie jej duszy pozostało jakieś niemiłe uczucie lęku i niezadowolenia z siebie. W rozgorączkowanej jej głowie przewijać się zaczęły jakieś przypomnienia z niedawno przeczytanych romansów, w których bohaterki, tak, jak ona, ufne w swą potęgę i szczęście, zostawały niegodnie opuszczone, i wystawione na wstyd i pośmiewisko ludzkie.

Kazia zadrżała! A gdyby tak teraz z nią stać się miało? Gdyby cały ten flirt i zaskakiwanie tego człowieka miało tylko na celu przywabienie jej tutaj i wykorzystanie jej młodości i niedoświadczenia. Ona przecież od kilku godzin upojona winem i nadzieją bliskiego zwycięstwa, zatraciła zupełnie samoistną wolę i dała sobą kierować jak dziecko, przywabione cukierkami!

Ale nie! To nie było możliwe!

Ten człowiek nie ośmieliłby się z nią postąpić jak z pierwszą lepszą dziewczyną! A gdyby nawet myśl taka mogła powstać w jego głowie, to od czegoż jej spryt i uroda, czy nie potrafi go skruszonego, błagającego choćby o jeden jej uśmiech, sprowadzić z powrotem do swoich stóp!

Próżność i ambicya Kazi były tak silne, że nawet w tak przełomowej chwili potrafiły zagłuszyć w niej niepokój i wstyd, które tylko przelotnie zatargały jej duszą!

Kiedy wkrótce potem wybiegła na ulicę, spiesząc ku domowi, niemiłe wrażenie już prawie zupełnie zatarte zostało, a całą jej istotę rozpierały dawne nienasycone pragnienia, ujawniające się na zewnątrz silniejszym blaskiem oczu i żywszym rumieńcem twarzy.

Zmierzch przedwiosenny już spadał na miasto, otulając je szarą mgłą melancholii i nieuchwytnej jakiejś tęsknoty, w której przecież wyczuwać się dawało nieśmiałe tchnienie budzącej się już ku słońcu i radości przyrody. Jakieś szepty ciche, szmery niepokojące, nawoływania porozumiewawcze biegły z prądami powietrza, jak gdyby gdzieś w całem przestworzu gotowały się gody jakieś weselne, jak gdyby niedługo świat cały zabrzmieć miał potężnym hymnem zmartwychwstania i wzmożonego życia!

Dla Kazi jednak niedosłyszalne były te głosy. Dla niej nadejście wiosny łączyło się z konieczną potrzebą nowego kostyumu i kapelusza, a teraz tak daleka była nawet od takich myśli.

Jutrzejszy dzień miał być dla niej przełomową chwilą w życiu! Miał jej przynieść to, o czem marzyła oddawna w niespokojnych snach o szczęśliwej przyszłości.

Bogatego, bardzo bogatego męża, willę, automobil i czołobitność tych wszystkich, dla których niczem była dotąd...

— — — — — — — — — — — — — —

Dzień następny już od wczesnego ranka zaznaczył się niezwykle ożywionym ruchem w mieszkaniu Gawlików.

Gawlikowa z Olearczykową, ściągniętą do pomocy, uwijała się po kuchni, zarabiając ciasto, tłukąc orzechy na tort, piekąc ciastka.

— Musi być babka i tort — upominała ją Kazia, przynosząc do domu radosną wiadomość o odwiedzinach wyczekiwanego gościa.

— Będą — oświadczyła Gawlikowa, z pewnością dobrej gospodyni, rozumiejącej co do niej należy i z własnej woli dodała jeszcze ciastka.



Gawlikowa z Olearczykową, ściągniętą do pomocy, uwijała się po kuchni, zarabiając ciasto, tłukąc orzechy na tort, piekąc ciastka.

— Pani Olearczykowa, a skocz że pani po tę śmietankę — zwróciła się w pewnej chwili do starej handlarki, — zamówiłam ją jeszcze wczoraj wieczorem. Żeby tylko dobra była. bo taki pan to na wszystkiem rozumieć się musi.

— Zaraz, zaraz, paniuńciu moja, byłam niedawno, kazali przyjść za pół godziny, bo jeszcze nie przywieźli. Ino utrę jeszcze te żółtka z cukrem. No, no, patrzcie, — pokiwała stara głową, mocując się z donicą trzymaną na kolanach — jak się to nasza Kazia uwinęła. Raz, dwa i już męża wytrzasnęła sobie.

— I jeszcze jakiego! — podchwyciła rozpromieniona Gawlikowa. — Dopiero jej wszystkie koleżanki zazdrościć będą!

— Szkoda tylko, że nie hrabia — podsunęła Olearczykowa, patrząc bokiem na nią. — Narzeczony Wikty Szulcówny to hrabia podobno z jakiejś strasznie arystokratycznej rodziny.

Gawlikowa aż upuściła łyżkę, którą trzymała w ręce.

— Co mi pani Olearczykowa za głupstwa wygaduje! — oburzyła się. — Hrabia! hrabia! On jest jest więcej niż hrabią, wie pani, bo bogaty jest za czterech, a ten angielski piesek Wikty to więcej ma długów, niż jest drzew w lesie. Kazia była warta innego losu!... Wikta za posag swój kupuje starego męża z tytułem! Także coś! Hrabia! A cóż dziś hrabiowie bez pieniędzy znaczą! Każdy z nich goły jak święty turecki...

— I to prawda — przyświadczyła Olearczykowa, nie chcąc rozdrażniać starej przyjaciółki, bo przypomniała sobie nęcącą ją od rana butelkę dobrego rumu, stojącą na stole w drugim pokoju. — I to prawda paniuńciu moja, co wart teraz tytuł bez pieniędzy. Kazia szczęście ma, niema co mówić. Cały Kraków wnet o tem gadać będzie. A zresztą co? Czy to państwo nie moglibyście dać za nią posagu, jakbyście chcieli. A ten Francuz, daj mu Panie Boże zdrowie, sam bogaty i zakochał się w Kazi na umór, to tem lepiej.

— Pewnie, że moglibyśmy dać — udobruchała się Gawlikowa. — Mężowi pieniądze same do rąk teraz idą! Wszystko na najlepsze obróciło się dla nas. Ot, dziś, wie pani Olearczykowa, stary mój zrobił interes, gruby interes, na dwa kroć sto tysięcy koron, rozumie pani? To nie byle co?

— O la Boga! — zdziwiła się Olearczykowa, wytrzeszczając oczy. Tyle pieniędzy! I jakiż to interes paniuńciu moja, co tyle przynieść może? Biedny człowiek aż głupieje na to wszystko.

— Na jakiemś drzewie, co skądś z daleka sprowadzili. Kilku ich do tego interesu należy, same tęgie głowy — oznajmiła z godnością Gawlikowa. — Trudno było, bo to pozwolenie na to trzeba mieć, ale jakoś sobie poradzili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

16

— Będę ją odwiedzał!

Zdanie to, wypowiedziane o kobiecie, jaką była Mrs. Chepstow, przez człowieka młodego, silnego, z temperamentem Nigla, mogą oznaczać jedną z dwóch rzeczy: Stosunek, albo małżeństwo. Które z nich oznaczało? Iseacson starał się to odgadnąć z tonu i zachowania się Nigla. Jego przyjaciel wyglądał zaambarasowany, na pewno był nim, lecz to, mogło być spowodowanem przez coś, w jego Iseacsona zachowaniu. Pomimo swego entuzyazmu i stanowczości Nigel nie był nieczułym na to, co mógł o nim myśleć człowiek, którego cenił i lubił. Może odczuwał brak sympatyi Iseacsona, nawet jego antypatyę do Mrs. Chepstow. Z drugiej strony mógł być zmięszany niejasnem poczuciem, że się sam zdradził. Ludzie mówią nieraz o podniesieniu kogoś, przed swoim własnym upadkiem. Czy Nigel miał zamiar wejść w stosunek z kobietą, nad którą się litował i był tem zawstydzony?

Małżeństwo byłoby szaleństwem. A jednak coś w Iseacsonie — jego podziw dla cnót przyjaciela — pragnęło, ażeby to małżeństwo zawarł. Taki czyn byłby zgodny z jego charakterem, podczas gdy stosunek — a przecie Nigel nie był świętym.

Iseacson myślał coby świat na to powiedział, i naraz poznał siłę swego uczucia dla Armine'a. Myśl o plotkach, była mu przykrą, nawet bolesną — o plotkach i gorzkiej prawdzie. Stosunek wywołałby wstrętny, ironiczny śmiech, ze zwierzęcych namiętności w człowieku, które i w Niglu się okazały. A małżeństwo?

Wyrok byłby: „Waryat".

Iseacson nie mógłby zaprzeczyć, że byłaby pewna słuszność w tym wyroku, lecz któż nie kocha, choćby potajemnie, szermierza przegranych spraw?

— Będę ją odwiedzał.

Wyrażenie to stosowało się lepiej do niższej, brudniejszej metody pozyskania tej kobiety, a mężczyźni zdają się być stworzonymi do upadku.

Nargile zgasło, a Iseacson wciąż siedział. Cokolwiek się stanie, on się Niglowi nie sprzeciwi. „Święty ogień" w tym człowieku, spaliłby ten protest. Iseacson wiedział o tem, i był rad, że wie, a jednak wiele też było w przyszłości — też z powodu tego, co nieuniknione, co może być tylko smutne! I zdawało mu się, że słyszy symfonię, której dzisiejszego wieczoru słuchał wraz z Niglem, nieustający puls życia, straszny i piękny w swej monotonii, jak bicie smutnego serca — które przestać bić nie może.

Fala jesiennego deszczu uderzyła o szyby okna, Iseacson wstał i poszedł do łóżka.

X.

Rzadko kiedy Mayer Iseacson pozwalał swemu sercu walczyć z rozumem, jeszcze rzadziej pozwalał mu w tej walce brać górę. Lecz wszyscy ludzie, odstępujący czasem od swych zasad, i niektórzy z nich, jeżeli są rozumni, nie są w tem bez szlachetności.

Takie właśnie odstępstwo skłoniło go, następnego dnia, do wysłania listu do Mrs. Chepstow z zapytaniem, czy i kiedy może ją odwiedzić. „Czy mogę panią zastać samą?" pisał.

Wieczorem nadeszła odpowiedź:

„Drogi doktorze!

Myślałem, że pan zupełnie o mnie zapomniał. Mam przyjemne wspomnienie z pańskiej wizyty w lecie, dało mi poznać, że, nawet w sezonie ogórkowym, mogą być dnie nie zapełnione nudą. Proszę o powtórną wizytę, a ponieważ wiem jak pan jest zapracowany powtarzaniem ludziom, że się cieszą doskonałem zdrowiem, proszę przyjść w niedzielę, na herbatę, o piątej. Zamknę drzwi przed tłumem odwiedzających mnie gości, tak, że będziemy mogli swobodnie rozmawiać, o różnych wzniosłych kwestyach, które nam na myśl przyjdą.

szczerze oddana

Ruby Chepstow".

Była środa, kiedy Iseacson czytał i odczytywał ten list, wolałby, żeby mniej dni dzieliło go od niedzieli, gdyż się obawiał, że będzie swego odstępstwa żałował. I nie jeden raz go pożałował. Spotkawszy Nigla, nie wspomniał mu o zamierzonej wizycie, Nigel też o Mrs. Chepstow nic nie mówił. Iseacson był zdziwiony tą powściągliwością, która mu się w jego przyjacielu wydała nienaturalną.

Przychodziło mu na myśl, że Nigel żałował tego, co powiedział o możliwym wyjeździe Mrs. Chepstow do Egiptu, lecz nie był tego pewny.

W niedzielę parę minut po piątej przybył do Savoy i został wprowadzony do saloniku Mrs. Chepstow. Jesień otuliła Londyn ciemnością i kiedy wszedł do pustego pokoju, znalazł firanki zapuszczone, światła zapalone, i ogień na kominku.

Opodal od niego, przed dużą sofą, która stała w rogu pokoju pod ścianą, przygotowany stolik do herbaty. Mnóstwo białych kwiatów, stało w wazonach na biurku, kominku i fortepianie, który był zamknięty i żaden „Gerontius" nie był widoczny.

Meyer Iseacson stał chwilę i rozglądał się wokoło, chcąc poznać atmosferę pokoju. Czy nie wyglądał w lecie trochę smutny, osamotniony, jak pokój, z którego człowiek radby uciec, pomimo konfortu i żywych kolorów? Teraz był jasny, miły, pełen nadziei, tak — oddychało się w nim atmosferą nadziei. Drzwi zaskrzypiały i Mrs. Chepstow weszła. Była w różowej sukni, zapiętej wysoko pod szyją, z wąskimi, długimi rękawami, które zachodziły na dłonie, uwydatniając ich ponętną delikatność. Suknia była bez żadnych ozdób i odznaczała jej piękną figurę. Pomimo, że nie miała kapelusza, Iseacson był uderzony jej wysokim wzrostem. Spostrzegł pewną zmianę w jej powierzchowności lecz przez chwilę nie wiedział jaką, wreszcie zauważył, że nadała policzkom lekki rumieniec. To ją nieznacznie zmieniało, czyniło młodszą, świetniejszą, lecz o wiele mniej idealną. uśmiechnęła się wdzięcznie, podając mu rękę, z radością, która go zdziwiła. Dotknęła się dzwonka, poczem zaprowadziła go do sofy, z rodzajem pewnej pieszczotliwej serdeczności.

— To będzie lepiej, już w sezonie ogórkowym — rzekła — wiem, że panu wtedy było mnie żal. Pan się dziwił jak mogłam wytrzymać. Teraz zamknęłam widok na rzekę. Rada jestem, że pan nie przychodził, dopóki pana nie mogłam przyjąć przy lampie i ogniu kominkowym. Lubię zimę w Anglii — a pan? W tych wszystkich południowych miejscowościach, o których ludzie marzą, przez cały rok, nie można mieć takiego, jak tu spokoju, ani takiej godziny przy ogniu, z zapuszczonemi ciężkiemi firankami i z przyjacielem.

Przy tych ostatnich wyrazach, głos jej nabrał pięknego brzmienia, spowodowanego wewnętrznem uczuciem — uczuciem tem mogła być tylko przyjaźń. Iseacson otwierał wszystkie kartki z ksiązki wdzięków tej kobiety, i ze wszystkich, głos jej był największym wdziękiem.

Służący wszedł z herbatą; po jego odejściu, doktór mógł swobodnie rozmawiać, lecz nie wiedział o czem mówić. Rzadko kiedy opuszczało go panowanie nad sobą, tego dnia jednak czuł się w niekorzystnem usposobieniu. Depresya pochodząca prawdopodobnie z jakiejś fizycznej przyczyny, kłora go w ostatnich czasach opanowała i tak dotkliwie dała mu się uczuć w czasie koncertu, jeszcze się zwiększyła i była powodem, że się czuł małym. Widocznie radość Mrs. Cheptow, wydawała mu się jak coś wysokiego, co pod każdym względem wznosiło się nad nim i nawet jej wysoki wzrost, zdawał się być tryumfem jej umysłu i woli, nad jego wolą.

— Mamy dopiero jesień — rzekł.

— Możemy myśleć, że to zima.

Tym samym wdzięcznym ruchem, którym oczarowała Nigla, za pierwszą u niej bytnością, podała mu filiżankę herbaty, a następnie przysunęła talerzyk z cytryną.

— Dowiedziałam się o pańskich gustach, jak pan widzi, wiem, że pan nie używa mleka.

Powinien był uczuć dla niej wdzięczność, a przecież coś w nim pragnęło odmówić cytryny — to coś, to nigdy nieprzestawało ją oskarżać. Poprzestał na banalnym frazesie.

— Jaka pani dobra, że dba o mnie.

— Ale i pan o mnie dba i to w jedynym dniu wolnym. Czy pan nie myśli, że mu jestem wdzięczną?

Nie było szyderstwa w jej głosie. Dzisiaj ironia jej była schowaną, ale wiedział, że tak jak starannie przykryty ogień, ona się wciąż pali. A ponieważ była ukrytą, tembardziej ją odczuwał. Odczuwał komedyę, którą odgrywali, nieszczerość, w której ona z uśmiechem go wprowadziła. Nie mogła przypuszczać, że go zwodzi, była na to za mądrą, a zatem na co to wszystko było potrzebne? — że go więziła, że go zatrzymywała na jego niekorzyść.

Podała mu ciastka. Zabiegała koło niego, jakby go chciała ugłaskać. I znowu powinien by jej być wdzięcznym. Mężczyzna musi uznać prawdziwy wdzięk, nawet najbardziej nielubianej kobiety, a Iseacson był wrażliwym na piękno. Gdyby sam szatan ukazał się z wdziękiem, pomyślałby: ile wdzięku ma szatan! Był więc oczarowany jej ruchami, lecz będąc człowiekiem silnej woli, a nadewszystko człowiekiem szczerym, uskutecznił swe twarde postanowienie i rzekł:

— Nie sądzę, żeby pani była mi wdzięczną bez powodu. Albo z powodem — dodał w myśli.

— Ale tutaj jest powód.

Dotknęła się jego rękawa. Z tem dotknięciem cały jej czar go opuścił, był zły na nią, że postępuje z nim jak z tymi chłopcami, którymi bywała otoczona, że śmie myśleć, że może grać na strunach, które są najgorsze w człowieku.

— Przykro mi, że się pani myli, nie dałem żadnego powodu do wdzięczności.

Wyglądała jeszcze serdeczniejsza i naturalniejsza niż przedtem.

— Znajduję, że pan dał powód, gdyż nie lubiąc mnie, pan mnie odwiedza. To brak egoizmu.

— Tylko w takim razie, jeżeli, przypuśćmy — że to co pani mówi, jest prawdą i że pani mnie lubi.

— Ja pana lubię.

— Powiedziała to po prostu, bez przesady, i nawet dla jego uszu to brzmiało prawdziwie.

— Kiedyś może pan się przekona.

— Lecz — ja temu nie wierzę.

Oprzytomniał już od uderzenia jej najniebezpieczniejszej broni — jej głosu.

— To nic nie szkodzi — znaczenie ma tylko to, co jest.

— Tak — rzekł — oto co jest: nie przyszedłem z etykietalną, ani przyjacielską wizytą, lecz może dlatego, aby popełnić impertynencyę.

— Nie, pan tego nigdy nie uczyni.

Uśmiechając się, poruszyła głową i podała mu swą papierośnicę.

Wahał się, czy wziąść papierosa, podczas gdy jej błyszczące oczy wyraźnie szydziły, mówiąc: „papieros nie obowiązuje do niczego".

Wiedziała, jak postępować, żeby się czuł nieśmiałym i ograniczonym jak młody chłopiec, a może przepracowanie, fizyczna depressya, wpłynęły na to, że był dzisiaj bezbronny.

Zapalił papierosa, ona też zapaliła swego, z tym samym zawsze radosnym wyrazem.

— Skąd pani o tem wie? — zapytał.

— Czuję to.

Smiejąc się, przypomniała mu, co mówił o kobietach.

— Pani się myli, właśnie to czynię.

— Ale, czy pan myśli, że to istotnie impertynencya?

Powstało w nim uczucie niechęci do mieszania się w cudze sprawy, lecz tłumił je prawie z gniewem.

— Niewiem, pani wie o tem lepiej. Mrs. Chepstow, pani mówiła właśnie o rozkoszach zimowych w Angli, dlaczego pani chce ich uniknąć?

— Kto panu mówił że wyjeżdżam?

— Czy pani nie jedzie do Egiptu?

Wcisnęła się w róg sofy.

— Czy to byłby nieodpowiedni dla mnie klimat, doktorze Iseacson?

Położyła nacisk na „doktorze".

— Nie mówię jako doktór.

— A więc jako przyjaciel, czy nieprzyjaciel?

— Jako przyjaciel jego!

— Kogo?

— Nigla Armine.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I, nim się kto spostrzegł, skończył się szczęśliwie sierpień. Szczęśliwie może dla nas, ale nie mogą tego powiedzieć o sobie bolszewicy i ich neutralni przyjaciele. Z sierpniem kończą się i wakacye, kto więc dotąd (tak, jak kronikarz...) namyślał się czy i dokąd ma wyjechać (a głównie: za co?...), pozbył się kłopotu, chyba, że ma zamiar skorzystania z pięknej polskiej jesieni i używania na śliwkach „prosto z drzewa“, czego mu jednak nie radzimy ze względu na szerzącą się coraz bardziej czerwonkę. Pozbyliśmy się zewnętrznego „czerwonego niebezpieczeństwa“, nie igrajmy zatem z wewnętrznem, mogącem się łatwo dać dotkliwie we znaki.

Wakacye zatem skończyły się, ale tylko w dawnem tego słowa pojęciu, gdyż Rada Szkolna krajowa, wychodząc z zasady, że w zdrowem ciele silny duch, przedłużyła je łaskawie do piętnastego września. I miała racyę, ruch bowiem, swoboda i próżniactwo wpływają bardzo dodatnio na wzmocnienie ciała. Jeżeli tak dalej pójdzie, rok szkolny nie będzie się zaczynał wcześniej, jak po Bożem Narodzeniu, skończy się zaś przed Wielkanocą. Grono profesorskie i uczniowie przyjmą to zarządzenie bez szemrania, znajdą bowiem czas do wypoczynku po trudach, których nie ponieśli, i nabędą sił do tem intenzywniejszej pracy przez pozostałe trzy miesiące. Sama nauka nic na tem nie ucierpi, zostanie zaś więcej czasu na tak popularne dziś „domowe wykształcenie“.

Sądziliśmy, że tylko austryackie kierownictwo oświaty starało się „ułatwić“ naukę, widzimy obecnie, że i polska Rada Szkolna krajowa nie różni się niczem od dawnej, cesarsko królewskiej. Naukę reformowano w sposób coraz bardziej postępowy, ucząc młodzież właściwie tylko próżniactwa. Korzystała też z tego, sądząc, że i przez życie będzie można tak łatwo przepłynąć, jak się to stało w ciągu ośmioletnich studyów. Czy się jednak nie zawiedzie, przyszłość to dopiero okaże.

Dawna szkoła wydawała osobniki tęgie umysłowo i duchowo, tegoczesna kładzie większą wagę na tęgość cielesną. Gdy dawniej kierowano się zasadą, że „bez pracy niema kołaczy“, dzisiejszy system jest oparty na założeniu, że „pieczone gołąbki same wlecą do gębki“, co im przyjdzie tem łatwiej, że, jak wiadomo, mają skrzydła.

Onegdaj spotkał kronikarz „pod Obrazem“ jednego z naszych znanych pedagogów, który przybył tam nie w celu pomodlenia się, lecz, aby posilić swe wątłe ciało.

Sama grzeczność każe rozmowę ze światłodawcą rozpocząć od szkoły, zapytał też kronikarz, jak się pan profesor zapatruje na opóźnienie rozpoczęcia roku szkolnego i usłyszał:

— Bogu dzięki!... Przynajmniej sobie człowiek odpocznie!

Zapomniał biedaczysko, że przecież dopiero skończył dwa miesiące wypoczynku, powtarzając machinalnie zwykłą śpiewkę z roku szkolnego.

Tego samego zdania są i uczniowie. W tym kierunku panuje między gronem nauczycielskiem i kształcącą się młodzieżą wzruszająca wprost zgoda. I jedni i drudzy nie mieliby nic przeciw temu, gdyby w samej rzeczy rok szkolny ograniczono do trzech miesięcy, dziewięć pozostawiając na wywczasy i uzupełnienie wykształcenia szkolnego domowem.

W rozpoczynającym się roku szkolnym wchodzi po raz pierwszy w życie nowy program naukowy, dzielący szkoły średnie na pięć typów, bardzo pięknie się nazywających, są bowiem między niemi gimnazya pseudo-klasyczne, niby humanistyczne, nadprzyrodzone i t. d., największą zaś frekwencyę, już choćby tylko dla samego nazwiska, bramiącego tak egzotycznie, cieszyć się będą z pewnością gimnazya bifurkacyjne. Aż do trzeciej klasy jest w nich uczeń naukowo bezpłciowy, od czwartej dopiero obiera sobie kierunek klasyczny lub realny.

Dla rodziców, mających dzieci w wieku szkolnym, a mieszkających w miastach, gdzie się znajdują szkoły średnie o rozmaitym typie, kłopot więc niemały, który z nich wybrać. Z tego powodu musi się zwołać wojenną radę familijną i wysłuchać zdania ekspertów.

Dawniej przychodziło to z łatwością. Było gimnazyum i szkoła realna, kto więc widział przyszłość swej pociechy w karyerze urzędniczej, pchał ją do gimnazyum, gdzie wlewano olej do głów, mającej kiedyś nosić na sobie urzędowe czapki z c. k. bączkiem, kto zaś chciał ją poświęcić zawodowi więcej praktycznemu, wybierał szkołę realną, o tyle zresztą praktyczniejszą, iż okres nauki trwał tam tylko lat siedm. Wiadomo zaś, co znaczy choćby jeden rok w życiu ludzkiem.

Pod względem czasu trwania nauki typy wszystkie są zrównane. Wszędzie trwa ona lat ośm, o ile naturalnie nie okaże się, że pan profesor bardzo ucznia lubi i poprosi go, by rok jeszcze został w tej samej klasie, aby pokazać młodszym, jak się uczyć i zachowywać w szkole powinno.

Sam program nauki i rozdział godzin między poszczególne przedmioty ma być podobno bardzo racyonalny — tak przynajmniej twierdzą znawcy — metoda przecież coraz dalej idącego ułatwienia nauki nie każe się spodziewać, aby nadal było lepiej niż dotąd. Przyszłość to zresztą pokaże, o ile naturalnie nie przyjdzie do steru nowy rząd, który wprowadzi nowe metody.

Gdyby tak bolszewikom było się udało rozgościć w Polsce, mielibyśmy z pewnością już Rady studenckie, które decydowałyby o losie profesorów i gimnazyalne czerezwyczajki z jakim Srulem Pistoletem na czele, aby zrobić z miejsca porządek z niechętnie widzianym światłodawcą.

Kronikarz, idąc za duchem czasu, ma na wszelki wypadek, gdyby go powołano na fotel ministra oświecenia publicznego, w swej tece nowy i zupełnie oryginalny projekt reformy szkoły średniej.

Ponieważ podręczniki szkolne są dla wielu, z powodu swej ceny, wprost niedostępne, a nauka pogłębiona według opinii fachowców ma ogromną wyższość nad książkową, nowy system opiera się na filmie kinematograficznym, który przez odpowiedni dobór tematów przesunie przed oczyma ucznia całokształt wiedzy z zakresu historyi, literatury, przyrody i t. d., na jakieś tam bowiem gramatyki, ortografie i tym podobne głupstwa nikt dziś uwagi nie zwraca, błędne zaś wyrażenie swych myśli, czy to w słowie czy w piśmie, nikt nie ma za dowód nieuctwa, lecz oryginalności.

Takie tematy, jak: Salomon w otoczeniu swych trzystu żon, Józef, pierwszy komisarz aprowizacyjny w Egipcie, Józef i Putyfara, Zuzanna w kąpieli, orkiestra czeska wita Kolumba w Ameryce, królowa Ludwika ratuje Prusy w Tylży i podobne, utkwiłyby z pewnością na długo w umyśle studenta, który byłby więcej widzem niż słuchaczem. Specyalna komisya wydawałaby świadectwa dojrzałości po zwykłem zapytaniu się, czy mu się to podobało. Na podstawie takiego patentu mógłby się ubiegać o każde stanowisko, nawet... ministra oświaty. Na uzupełnienie swego wykształcenia domowemi studyami miałby dość czasu przez cały dzień, który mógłby obrócić na pouczającą lekturę, jakiej dostarczają różne wypożyczalnie książek, ocieranie się między ludźmi, studya fizykalno-praktyczne, naprzykład stwierdzenie prawideł o zderzeniu ciał sprężystych... na bilardzie, sztuki piękne (w każdem tego słowa znaczeniu) i t. d.

I grono profesorskie nie potrzebuje być wtedy tak liczne i bynajmniej się nie zmęczy, nie zmęczy się uczeń i nie będzie się go musiało pędzić na wykłady, budynki szkolne obróci się na jakiś cel praktyczny, co zaś najważniejsze, zrehabilituje się kina, które dotąd kształciło tylko bandytów i włamywaczy. Wtedy powiemy ze spokojem, że jest potrzebne i zasługuje na poparcie.

Wyższe wykształcenie, o ile znalazłby się ktoś, kto chciałby je uzyskać, możnaby nabyć w Uniwersytetach ludowych, na wykładach popularnych i tym podobnych, takich bowiem osobników, którzy nauce poświęcają się dla niej samej, a nie dlatego, że im chleb przynosi, nigdy nie braknie. Pozwoli się im urządzać wykłady publiczne dla ogółu, lecz bezpłatnie.

Ten nowy system reformy szkolnej ma jeszcze i tę wyższość nad innymi, że można będzie utworzyć latającą komisyę, wydającą świadectwa dojrzałości, która z filmami dotrze w najodleglejsze zakątki naszego kraju, a po zaprowadzeniu centrali w Jazowsku, siły elektrycznej z pewnością nigdzie nie zabraknie.

Projekt to bardzo, przyzna chyba każdy, postępowy, powinien też zyskać aprobatę ogółu, zwłaszcza zaś ministerstwo skarbu, gdyż wówczas wydatki na cele szkolnictwa będą minimalne, zwłaszcza, że za uczęszczanie do kina i za świadectwo dojrzałości trzeba będzie opłacić odpowiednią taksę. Wszystko idzie w górę, może też i olej podrożeć.

Ową reformę szkolnictwa chowa sobie kronikarz na późniejsze czasy, gdy „wedle klucza partyjnego“ znajdzie się w gabinecie, jako minister publicznego oświecenia, choć do tej teki bynajmniej nie wzdycha, czując w sobie rozpęd do szerszej polityki, którejby można dać wyraz jedynie na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Jak dotąd, spełniły się prawie wszystkie jego kombinacye, z wyjątkiem jednej. Powiedział mianowicie niedawno, że łatwo stać się może, iż zanim przyjaciele pospieszą mu z pomocą, psy zające zjedzą. I niewiele brakowało, a byłyby go i zjadły. Dzięki Bogu, przekonał się Trocki, że ten zając bardzo kościsty!... Połamał sobie na nim zęby, ale dobrze mu tak, ze względów rytualnych nie powinien był zabierać się do zająca, gdyż talmud na to nie pozwala.

Sprawdziło się natomiast, że sami damy sobie radę, jeśli się weźmiemy seryo do roboty i bodaj na chwilę zapomnimy o tem, że są ludowcy, socyaliści, endecy i t. d., a hasłem całego narodu będzie: „Są tylko Polacy!“.

Tak się też stało!... Trzeba było dopiero biedy, aby nas nauczyła rozumu i to jeszcze nie wszystkich!... I dziś są jeszcze tacy, którzy o swej własnej pieczeni nie zapomnieli. Nie myślę tu o „neutralnych“, którzy w krytycznej chwili złożyli tyle dowodów swej nienawiści wobec wszystkiego, co polskie, gdyż ich za Polaków nie uważam, lecz za złośliwy nowotwór toczący nasz organizm, który też co rychlej należy od niego uwolnić, lecz tych, którzy nawet za głośno manifestują swe narodowe uczucia. Wiadomo zaś, że dzwon dlatego głośny, że wewnątrz pusty...

Pod ich adresem skierował też prezydent Witos swe oświadczenie o stronnictwach, powtórzył jednak tylko to, co kronikarz powtarzał niejednokrotnie.

Powiedział Witos, że obozy i stronnictwa muszą istnieć, że jest to poprostu dziura, bez jakiej się żaden most nie obejdzie, ale nie mogą myśleć tylko o swych programach, zapominając o ogólnym interesie państwa.

Słowa jego powtórzył „Naprzód“, dodając od siebie, że Polska dotąd nie jest właściwie państwem, lecz zbiorowiskiem różnych stronnictw, które sobie wzajem nogę podstawiają.

Zupełnie słusznie artykuł swój o tem, co Witos powiedział, a „Naprzód“ pochwalił, zatytułował „Kuryerek“ *Pereat patria — fiat partia*, dodając od siebie szereg uwag.

I kronikarz przyznaje racyę prezydentowi ministrów i „Naprzodowi“, to mu się jednak dziwnem wydaje, że słowa te wyszły właśnie z tych ust, a komentowane były przez organ partyi socyalno-demokratycznej. Nie zapomi ajmy bowiem, że od chwili powstania państwa polskiego właśnie ludowcy i socyaliści dali może najwięcej dowodów, iż interesy partyjne kładą na pierwszem miejscu. Być może, że nareszcie przejrzeli i odtąd będą się kierować zupełnie innemi zasadami, że najpierw uwzględnioną będzie *patria*, a po niej dopiero *partia*... Lepiej, że się te stanie później, niż nie miałoby się stać nigdy.

Nie były też wymysłem przewidywania kronikarskie, że Niemcy z pewnością postarają się wyzyskać naszą przykrą sytuacyę, wywołaną inwazyą bolszewicką, i zapragną pójść w ślady Czechów, którzy na nas zrobili doskonały interes, zabierając Śląsk. Czesi się pospieszyli, Niemcy się trochę spóźnili!... przerachowali. Byli pewni, że bolszewicy zaleją całą Polskę, że zajmą Warszawę przy pomocy swych „neutralnych“ przyjaciół i że oni przy tej sposobności zamkną nam przed nosem korytarz, wiodący do Gdańska, i zabiorą jeszcze coś więcej, bo Trocki bardzo jest szczodry i rozdaje chętnie, ale tylko to co nie jest jego własnością, a po co tak chciwie sięga. Z tego powodu ogłoszenia neutralności Gdańska i zatrzymanie transportów amunicyi, byle tylko postawić Polskę w położeniu bez wyjścia. Nie inny powód miały i awantury niemieckie na Górnym Śląsku, skierowane przeciw Polakom i Francuzom.

Stało się przecież inaczej, niż się Niemcy spodziewali. Biedna, opuszczona przez wszystkich Polska, zdana tylko na swe siły i na tę słabą pomoc, jakiej jej użyczyła Francya, pokrzyżowała wszystkie plany. Pod Warszawą wyszczerbiły się zęby czerwonej bestyi, niemieckie nadzieje spadły niżej zera a Lloyd George zmienił front i oświadcza się z przyjaźnią dla Polski.

Oręż polski zrobił swoje, reszty ma dokonać wspólnemi siłami cały naród, biorąc się zgodnie i wszystkiemi siłami do pracy, dla dobra Ojczyzny, a nie którejś partyi. Na partye będzie dość czasu, gdy zrobimy porządek od zewnątrz i na zewnątrz i pozbędziemy się niepotrzebnych śmieci i chwastów.

Powodzenie robi swoje. Już Lloyd George i Giolitti zgodzili się na to, że Gdańsk nie ma prawa zatrzymywać naszych transportów. Francya ma to załatwić w imieniu sojuszników. Jeżeli tak dalej pójdzie, gotowiśmy jeszcze otrzymać Gdańsk, a potem, gdy się już wszystko uspokoi, nie zapomnimy upomnieć się o to, co się nam słusznie należy. Wówczas powiemy i panu Beneszowi:

— Panie Benesz!... Możemy z sobą żyć w przyjaźni, ale najpierw oddaj, co nie twoje!...

To wszystko stać się może jednak dopiero wtedy, gdy hasłem naszem będzie:

Pereat partia — fiat patria!...

Interesom ogółu muszą ustąpić miejsca interesy partyjne i o tem niech nie zapominają ci, którzy mienią się być dobrymi synami Ojczyzny, pragnącymi Jej wielkości i sławy.

Gdańsk musi należeć do nas bez zastrzeżeń.

Od chwili ogłoszenia warunków traktatu pokojowego minął zaledwie rok a już dziś okazuje się jasno, że Rada Najwyższa zbagatelizowała sobie najżywotniejsze interesy zwłaszcza tych narodów, których on głównie dotyczył, nie zapominając rzecz prosta, o swych własnych. Przed ostatecznem ułożeniem warunków jeździły wprawdzie koalicyjne misye, aby badać stosunki, ale, jak się obecnie okazuje, nie zbadały ich należycie. Niektóre narody obdarzono zbyt hojnie, np. Czechów, inne, jak znów nas, traktowano zupełnie po macoszemu.



Gdańsk musi do nas należeć bez zastrzeżeń: Stara forteca u ujścia Wisły w Gdańsku.

Dodać do tego należy, że sama Koalicya nie szanuje postanowień traktatowych, trudno zatem wymagać, aby czynili to ci, którzy są zdania, że ich skrzywdzono. Ponadto nie brakło i takich, którzy podpisali wprawdzie traktat, gdyż inaczej postąpić nie mogli, ale postanowili sobie z góry, że nie będą nań zważać.

Traktat pokojowy postanawia, że Polska ma być niezależnem zjednoczonem i silnem państwem, a jakby na urągowisko, zamyka jej swobodny dostęp do morza, jedynej drogi, na której mogłaby się bezpośrednio skomunikować ze swymi zachodnimi sprzymierzeńcami. Tworzy się wolne miasto Gdańsk, będące ekspozyturą niemiecką u ujścia Wisły i oddaje w ten sposób w zależność od Niemców cały nasz handel i przemysł. Otrzymujemy wprawdzie kawałek wybrzeża morskiego i korytarz doń wiodący, ale na tem wybrzeżu niema wygodnego portu, który odpowiadałby interesom państwa.

Traktat pokojowy postanawia wprawdzie w dalszym ciągu, że port gdański ma być wspólnie używany przez wolne miasto (t. j. Niemców) i Polskę, że Polska ma prawo bez zastrzeżeń przewozić tamtędy wszystko, więc i materyał wojenny, ale zato ma zaopatrywać Gdańsk w żywność, węgiel, naftę i t. d.

Niemcy byli przecież zdania, że Polacy dostali zbyt wiele i to z ich szkodą, postanowili zatem skorzystać ze sposobności, aby odebrać jeszcze i te okruchy, w szczególności zaś ów korytarz prowadzący do morza i zamknąć w ten sposób Polskę ze wszystkich stron.

Sposobność ta nadarzyła się z chwilą, gdy armia czerwona wkroczyła w głąb Polski i zagroziła jej zalewem. Jeśli z wschodnich kłopotów Polski skorzystali Czesi i zabrali Śląsk, postanowili skorzystać i Niemcy.

Ogłosili zatem neutralność wolnego miasta Gdańska w wojnie polsko rosyjskiej, wstrzymując bezprawnie dowóz do Polski zagranicznej amunicyi i materyału wojennego (dostawa ośm wagonów aeroplanów) oraz internując reemigrantów polskich, o ile są w wieku popisowym. Narzekania polskie na to oczywiste gwałcenie traktatu wersalskiego i konwencyi polsko gdańskiej nie odnoszą skutku. Silniejszy bowiem jest rząd zbolszewizowanych robotników, niż władza sir Towera, wysokiego komisarza. Konstytuanta gdańska jest wrogo wobec Polaków usposobiona, także i Rada Stanu wolnego miasta. Za ścisłem przestrzeganiem neutralności głosowali wszyscy członkowie ze starszym burmistrzem dr. Sahmem na czele, oponował jedynie przedstawiciel Polski dr. Łangowski. Nie pomogła też i osobista interwencya wiceministra Dąbrowskiego który w tym celu specyalnie wyjechał z Warszawy do Gdańska.



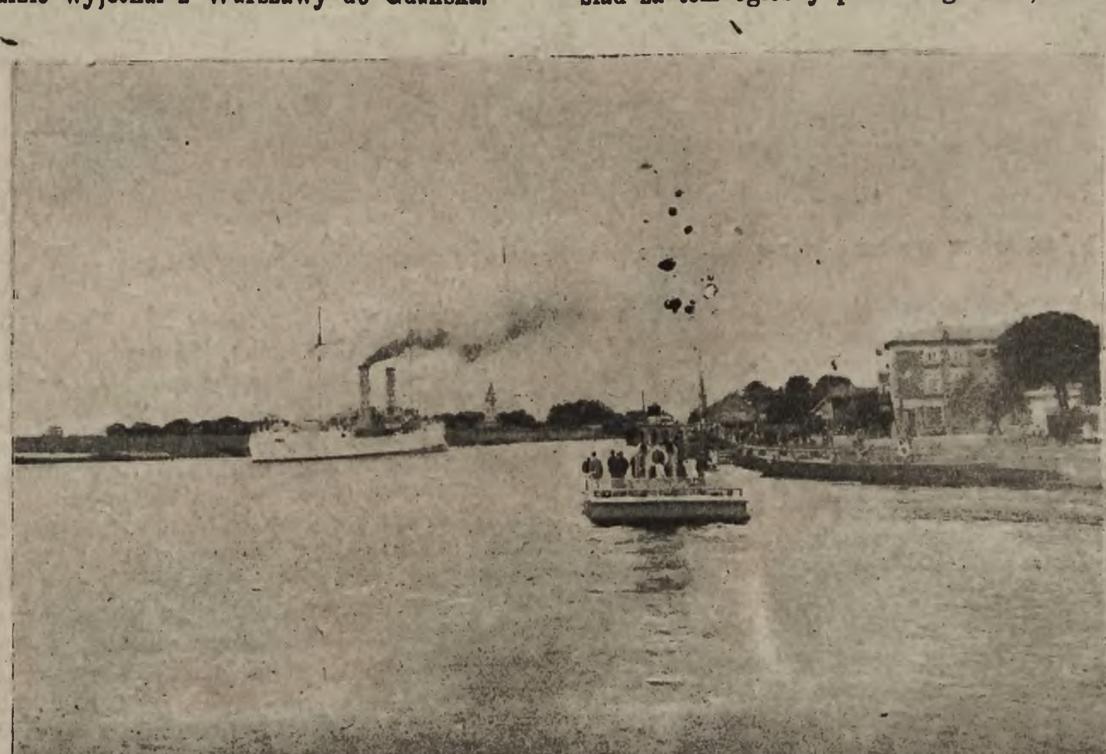
Gdańsk musi należeć do nas bez zastrzeżeń: Latarnia morska przy wjeździe do portu gdańskiego.

Teraz dopiero otwarły się oczy Koalicyi, zwłaszcza zaś Francyi, że Polska bez zupełnie swobodnego dostępu do morza obejść się nie może, że jest to pierwszy warunek jej samodzielności i siły, a leży też i w interesie aliantów.

Podnoszą się zatem głosy, że najwyższa Rada ambasadorów ma się zająć przyznaniem Polsce Gdańska bez zastrzeżeń. Wprawdzie traktat wersalski mówi co innego, już Radek Sobelson trafnie go scharakteryzował, że to „świstek papieru", z którym się nikt nie liczy. Ze względu na nasze wyjście obronną ręką z bolszewickiej opresyi, może i sprzeciw interesowanych i niezinteresowanych będzie słabszy. W każdym razie Francya ma nas popierać, a być może — pójdzie za nią i Anglia.

I tak się też stało.

Lloyd George, który w ostatnich czasach zjechał się z Giolittim w Lozannie, doszedł z nim do zupełnego porozumienia w sprawie gdańskiej, a w ślad za tem ogłosiły pisma angielskie, że traktato-



Gdańsk musi należeć do nas bez zastrzeżeń: Kanał między starym a nowym korytem Wisły w Gdańsku.



Propaganda za wstępowaniem do armii polskiej: Jedno z ogłoszeń wydanych staraniem Inspektoratu Gen. Armii Ochotniczej.

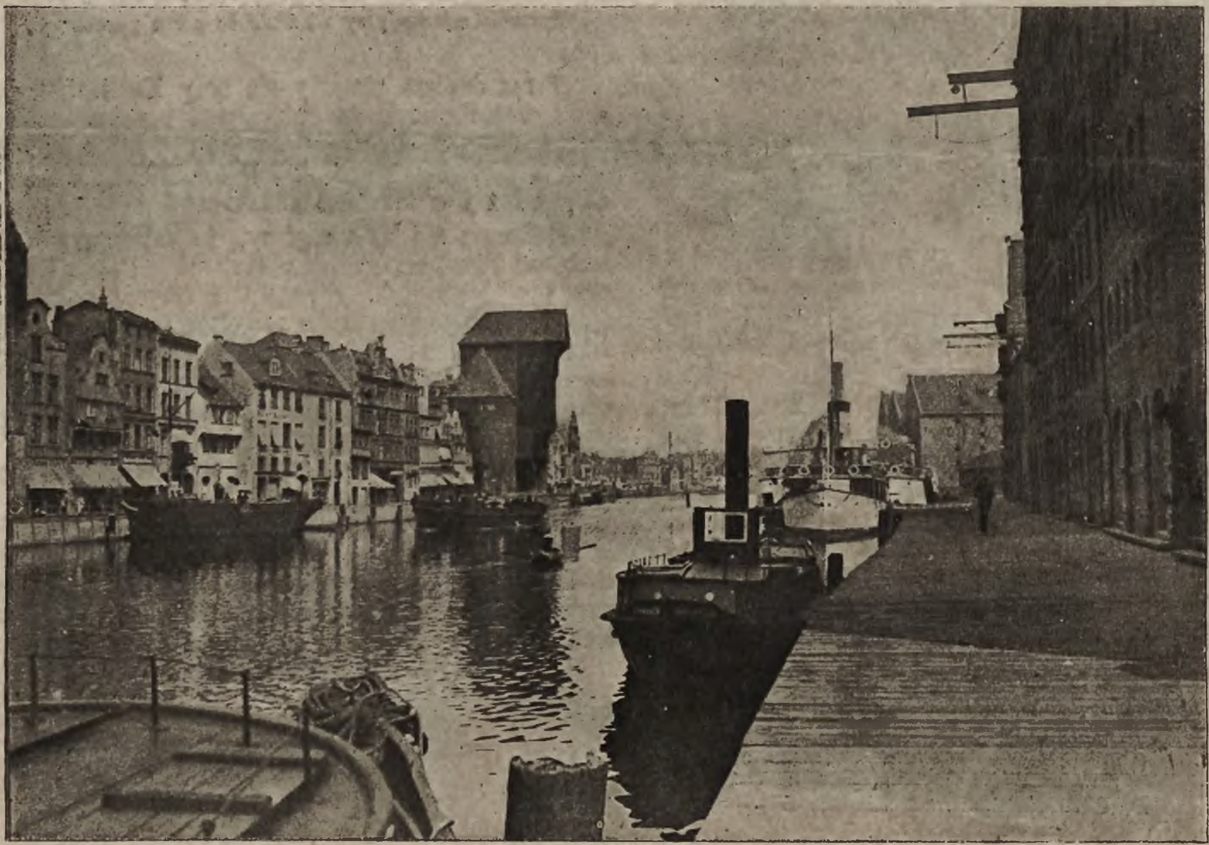
we postanowienia wersalskie, o ile dotyczą stosunku Gdańska do Polski, muszą być w całej pełni wykonane i nie jest bynajmniej wykluczone, że dotyczące paragrafy traktatu będą w najbliższej przyszłości poddane rewizyi, ewentualnie zaś zmienione na korzyść Polski, aby coś podobnego nie mogło się już powtórzyć.

Echem porozumienia Lloyda George'a i Giolitti'ego była mowa, wygłoszona przez sir Reynolda Tovera w gdańskiej Radzie Stanu. Oświadczył w niej, w bardzo ostrych i stanowczych słowach, że Gdańsk nie jest jeszcze wolnem miastem, że nie miał prawa do ogłoszenia swej neutralności, że pogwałcił w haniebny sposób postanowienia traktatu wersalskiego i konwencyi polsko gdańskiej, na której on złożył swój podpis. Wobec tych wydarzeń, jakie zaszły, zmuszony był odroczyć swój wyjazd do Paryża, aż do chwili zaprowadzenia zupełnego porządku. Dodał, że wszystkie postanowienia traktatu wersalskiego muszą być co do joty spełnione, w danym zaś wypadku jest Koalicya zdecydowaną sprowadzić do wyładowania polskich transportów swych marynarzy i robotników, przez co liczba bezrobotnych w Gdańsku jeszcze bardziej się zwiększy.

W sprawie gdańskiej zawiał zupełnie inny wiatr, dla nas pomyślny, wobec czego należy oczekiwać nowych postanowień w tej sprawie.



Gdańsk musi należeć do nas bez zastrzeżeń: Pomost i żóraw służące do wyładowywania towarów w porcie gdańskim.



Gdańsk musi należeć do nas bez zastrzeżeń: Magazyny i urządzenia portowe w Gdańsku.

Zawiedzione nadzieje.

„Czy nie widział kto małego Kohna?...“ oto pytanie, które tak popularne było ongi w niemieckich kabaretach.

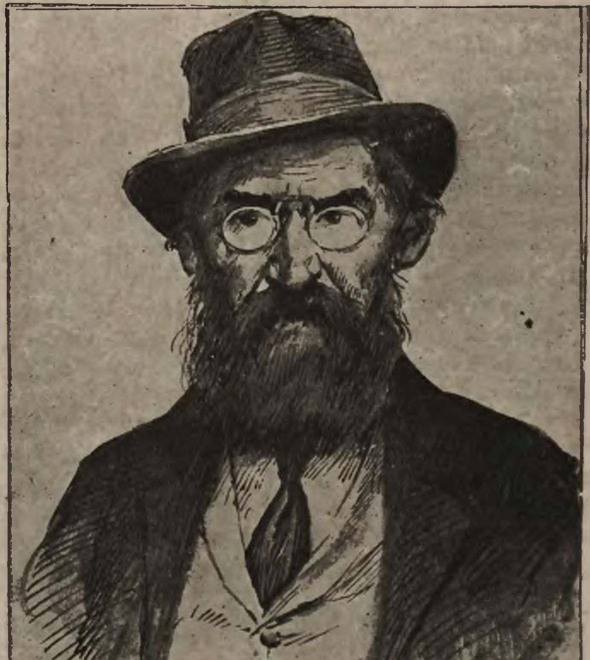
Nasz pan Kohn, o którym mowa, nie jest mały!.. On jest, a przynajmniej chciał być wielkim, a do tego miały mu dopomódz bolszewickie zasady, których jest zapalonym wyznawcą. Jednem słowem, pan Feliks Kohn był już proponowany przez Trockiego nadkomisarzem sowieckim dla Polski, miał mianowicie objąć tekę ministra wyznań i oświecenia publicznego. Urzędował i to bardzo krótko, ale tylko w Wyszkowie, losy nie dozwoliły mu dostać się do Warszawy, gdzie prawdopodobnie byłby sobie obrał siedzibę w byłym Zamku królewskim. Mieszka Lenin w Moskwie na Kremlu, może pan Kohn rezydować na warszawskim Zamku.

I nie można się temu dziwić, że „pewna część ludności warszawskiej“ przygotowała się na wspaniałe przyjęcie wkraczających w mury miasta „oswobodzicieli“, na których czele byłby zapewne wjechał Trocki Bernstein, pan komisarz Kohn. Jak opowiada jeden z przybyłych z Warszawy oficerów, w najbardziej gorącym czasie, gdy lada chwila można się było spodziewać jeneralnego ataku czerwonej armii na miasto, „pewien odłam niekatolickiej ludności“ wykupił na gwałt w sklepach bławatnych wszystkie zapasy czerwonych materyi, u ogrodników zaś kwiaty, mające służyć na okazanie radości z powodu zwycięstwa czerwonej armii, mającego zainicyować nową erę w dziejach Polski, której rządy miał ująć w swe ręce pan komisarz Kohn.

Skończyło się jednak na przyjęciu. Pan Kohn z powodów od siebie niezależnych do Warszawy nie przyjechał, choć był już bardzo blisko, kwiaty zwiędły, czerwone chorągwie nie ujrzały światła dziennego. Kto się zbyt nie spieszył i chorągwi jeszcze nie przygotował, ten zaraz nazajutrz po odstąpieniu bolszewików z pod Warszawy puścił czerwoną materyę „na pasek“, lub obrócił na wsypy do pierzyn lub poduszek.

Zwiędły więc nadzieje tak pana Kohna, jak i jego współwyznawców, między którymi, zwłaszcza na terytoryum byłej Kongresówki, mają bolszewicy bardzo wiele sympatyków, gotowych każdej chwili wejść w skład sowietu lub czerezwyczajki.

Temu zresztą nie można się dziwić. Na czele ruchu bolszewickiego stoją w Rosyi sami prawie żydzi. Trocki, Litwinow, Zinowjew, Radek... to tylko listki figowe, pod którymi kryją się prawdziwe nazwiska: Bernstein, Finkelstein, Silbercweig, Sobelsohn. Nie inaczej był też na Węgrzech, gdzie ster władzy w czasie kilkumiesięcznych rządów dzierżyli także wybrani synowie Izraela w osobach Beli Kuhna, Grünbauma i innych. „Biały terror“, który rozszerzył się po całych Węgrzech po zdławieniu bolszewickiej przewagi, zwrócił się też głównie przeciw żydom.



Zawiedzione nadzieje: Niedoszły komisarz sowiecki dla Polski, Feliks Kohn.

Propaganda za wstępowaniem do armii polskiej.

W szeregu środków, jakich dziś używa się powszechnie celem propagowania jakiejś idei, wydawnictwa obrazkowe, działające nawet na sfery mniej inteligentne, odgrywają bardzo ważną rolę. Zrozumieli to Niemcy i Czesi i system ten zastosowali w walce z nami na Śląsku Górnym i Cieszyńskim nie inaczej postępują i bolszewicy, którzy miliony wydają na przedstawienie w jak najefektowniejszy sposób dobrodziejstw, czekających świat po przejęciu się ich zasadami. Wsie i miasta w Rosyi są poprostu oblepione afiszami propagandy, nie brak ich nawet w Mińsku, w lokalnościach, przeznaczonych na pomieszczenie członków polskiej delegacyi pokojowej.

Za duchem czasu poszedł i jeneralny Inspektorat naszej armii polskiej, wydając cały szereg bardzo udatnych ogłoszeń agitacyjnych, mających zachęcić do wstępowania w szeregi. Przypomina się w ten sposób obywatelstwu kraju ich obowiązki, o ile ich dotychczas nie spełnili.

Zwłaszcza plakat z podobizną jenerała Hallera, naczelnego komendanta armii ochotniczej, stojącego na okopach, w których roi się od ochotników, wykonany jest bardzo artystycznie i zdaje się przemawiać do patrzącego. Jenerał Haller przedstawiony jest na nim z wyciągniętą ręką, wskazującą, dokąd ma spieszyć każdy Polak w tak przykrej dla Ojczyzny chwili.

Bo nie należy się łudzić, że chwila niebezpieczeństwa już minęła, niebawem może ona wrócić z większą jeszcze siłą, zwłaszcza, że Cziczerin zapowiedział wyraźnie w swej depeszy do delegacyi rosyjskiej w Rewlu, iż armia bolszewicka za dni czternaście będzie znów gotową do stawienia oporu. Z bolszewikami więc jeszcze nie skończyliśmy ostatecznie, a z zachodu grozi nam poważne niebezpieczeństwo ze strony Niemiec, których prowokacye na Górnym Śląsku doprowadziły do nadzwyczajnego zaostrzenia sytuacyi.

Nie należy zatem lekceważyć sobie położenia, ale wedle sił i możności popierać cele ogólne, a między nimi na pierwszem miejscu stoi troska o naszą armię ochotniczą.

Kto do służby wojskowej zdatny, stary czy młody, niech ochoczo spieszy w jej szeregi, dokąd go wzywa jenerał Haller, inni niechaj popierają moralnie i materyalnie jej cele, aby gotowa była na wszelką ewentualność. W najbliższym już czasie może się nadażyć sposobność że będzie ona zmuszoną zmierzyć się z wrogiem.

Niechaj zatem żaden Polak nie zapomina o swych obowiązkach, jakie na nim ciężą w tej tak krytycznej chwili.

Jenerał Haller woła!...

Z żałobnej kroniki.



WALENTY ŁASKUDA

podporucznik 11 p. p.

poległ śmiercią bohaterską dnia 6 sierpnia b. r. w walce o przyczółek mostowy Dorohusk nad Bugiem.

W poległym bohaterze utraciła Ojczyzna jednego z najdzielniejszych obrońców wolności i najlepszego syna, a żołnierze i grono oficerów jednego z nieocenionych dowódców i najszczerszych kolegów.

Cześć Jego pamięci!

Żołnierze i oficerowie 11 p. p.

Zadaniem kobiety jest być kapłanką ogniska domowego i podtrzymywać ten święty Znicz, koło którego skupia się cała rodzina. Jeżeli godnie spełniała obowiązki dobrej żony i matki, wywiązała się już należycie ze swego zadania, jeśli zaś nadwyżkę wolnego czasu poświęciła pracy społecznej, możemy ją stawiać innym za wzór godny naśladowania. Nagrodą zaś jej może być tylko wewnętrzne zadowolenie, że spełniła, co do niej należy. I cicha praca kobiety w zaciszu domowego ogniska i na niwie społecznej przynosi spodziewane owoce i spotka się z należytem uznaniem.

Jedną z takich cichych pracownic była zmarła w ubiegłym tygodniu w naszem mieście ś. p. Marya z Kurkiewiczów Terakowska, żona tutejszego przemysłowca, znana w szerokich kołach krakowskiego mieszczaństwa ze zalet serca i umysłu, oraz gorącego patryotyzmu, którego na każdym kroku dawała dowody.

W młodszych swych latach jedna z najzdolniejszych uczenic lwowskiej Szkoły dramatycznej znanego recytatora Stanisława Konopki, zbierała zasłużone oklaski na estradzie koncertowej we Lwowie. O występach jej wyrażała się krytyka bardzo pochlebnie, rokując jej świetną karyerę sceniczną. — Nie poświęciła się jej, oddając się całą duszą życiu rodzinnemu i wychowaniu dzieci na dzielnych obywateli kraju. Była najlepszą żoną i matką, mogącą innym służyć za wzór, nie zamknęła się przecież w czterech ścianach domowych, biorąc, o ile jej czas na to pozwalał, żywy udział i w życiu społecznem. Zmarła w sile wieku, licząc zaledwie lat trzydzieści dziewięć, pozostawiając po sobie szczery żal i serdeczne wspomnienie u tych wszystkich, którzy znali ją bliżej.



Z żałobnej kroniki S. p. Marya z Kurkiewiczów Terakowska, obywatelka m. Krakowa.

Kto jest bolszewikiem w kraju?

Na jednem z zebrań w Uniwersytecie Jagiellońskim robotnik p. Grochal powiedział, że ten, kto ma majątek, a nie daje na pożyczkę państwową, jest bolszewikiem. I słusznie! Albowiem przez swoją bierność osłabia siły własnego państwa, a przyczynia się do zwycięstwa bolszewików. Są tacy, którzy dotychczas mimo licznych odezw i osobistych nawoływań nie dali nic na pożyczkę. Inni dali odczepne w drobnej, jak na ich majątek, kwocie. Jeżeli ktoś posiada majątek, wartający miliony, a daje na pożyczkę parę tysięcy, wykręca się tylko od spełnienia obowiązku obywatelskiego i zupełnie nie przyczynia się w tej ciężkiej chwili do wzmocnienia państwa. Uczciwy obywatel polski winien oddać na pożyczkę państwową **5-tą część swego majątku**. Kto więc posiada kamienicę, własność ziemską, sklep, fabrykę i t. d., winien obliczyć obecną wartość swego majątku i oddać na pożyczkę 5-tą część. W obecnej bowiem chwili nie chodzi o drobną rzecz, lecz o istnienie państwa polskiego. Gdybyśmy nie spełnili obowiązku **w całej pełni**, wtedy — jak pięknie powiedział Marszałek Sejmu „historya słusznie o naszem pokoleniu tylko ten sąd mogłaby wydać, że gdy Polska stała się wielką, Polacy okazali się małymi".

W Krakowie są kupcy i przemysłowcy, których majątek obliczają na dziesiątki milionów, a jednak nie dali dotychczas nic, albo bardzo mało na pożyczkę państwową. Jest to bolszewizm zupełnie wyraźny. Robotnik p. Grochal miał prawo powiedzieć tak o tych ludziach, bo robotnicy okazali co do pożyczki wybitny patryotyzm. Wiadomo, że prawie we wszystkich fabrykach uchwalili robotnicy krakowscy, chrzanowscy, gorliccy i w wielu innych miejscowościach oddać część swego zarobku tygodniowego na pożyczkę, a nadto jedną godzinę pracy dziennie na rzecz państwa. Wieś zaczyna się obecnie budzić z dotychczasowej apatyi. Są gminy małe w niektórych powiatach, które znaczne kwoty składają na pożyczkę. Jeszcze ten zapał nie ogarnął całego ludu polskiego. Ale Kraków, duchowa stolica Polski, winien przodować całej Polsce w zrozumieniu obowiązku patryotycznego. Smutną jest rzeczą, że dotychczas jeszcze tak nie jest. Wystarczy pójść od sklepu do sklepu i zapytać kupca — ileś dał na pożyczkę? a wielu będzie musiało odpowiedzieć, że nic, a inni, że parę tysięcy. Tak być nie powinno. Musi w Krakowie wytworzyć się zdrowa opinia publiczna, którąby takich ludzi pociągała do odpowiedzialności i wskazała jako wrogów państwa, jako bolszewików. Ci, którzy chodzą do kawiarń i restauracyi, winni się pytać właściciela kawiarni i restauracyi ile dał na pożyczkę, skoro jego majątek liczą na miliony. A takich kawiarń i restauracyi jest w Krakowie dużo; znamy nazwiska ich właścicieli. Ci, którzy kupują w sklepach winni pytać kupca o pożyczkę, a gdy dał mało, należałoby mu to wytknąć. Nie miejmy fałszywego wstydu przed nazywaniem po imieniu niespełniania obowiązków obywatelskich i zdrady wobec państwa. Gdy chodzi o dobro państwa i o interes ogółu, opinia publiczna musi się jasno wyrażać i każdemu obywatelowi wskazywać jego obowiązek, a wtedy niewątpliwie każdy spełni ten obowiązek, bo będzie się wstydził, by go nie wskazywano palcem na ulicy jako bolszewika i zdrajcę.

Obecnie świetna nasza armia zwycięża. Jednak społeczeństwo nie może w tej chwili sądzić, że spełniło już swe zadanie Zwycięstwo musi być doprowadzone do końca i musi być należycie wyzyskane, a stać się to może tylko wtedy, kiedy pracę i ofiarność naszą dla państwa podwoimy i potroimy Pamiętać musimy, że bolszewicy zwyciężeni nie zaprzestaną ponownego gromadzenia wojsk celem ciągłego nękania Polski. Bolszewizm bowiem tylko tak długo ostanie się w Rosyi, jak długo będzie prowadzić wojnę z Polską, bo z chwilą nastania pokoju, naród rosyjski otrzeźwieje i, zobaczy bezdenną przepaść, w którą go wtrącili prorocy bolszewiccy, zrzuci z siebie jarzmo czerwonego cara. Bolszewicy muszą Rosyę utrzymywać w ciągłym fermencie i rozstroju. Stąd sądzę, że czekają nas jeszcze ciężkie walki z bolszewikami, do których musimy się obecnie gruntownie przygotować przez organizacyę wojska, przez wzmacnianie finansów państwa i przez budzenie patryotyzmu w najszerszych warstwach. Wojsko organizuje się doskonale, bo lud sam uchwala na licznych zebraniach konieczność przymusowego poboru i chętnie spieszy do wojska, wiedząc, że broni swych rodzin i zagród, swego dobytku i wolności. Ci, którzy nie idą do wojska, muszą oddać znaczną część swego mienia państwu. Zresztą forma pożyczki państwowej zapewnia im zwrot włożonego w pożyczkę kapitału.

Gdy jednemu z zacnych obywateli zaproponowano 10.000 Mp na pożyczkę powiedział: „Prawy obywatel winien dziś Państwu dać nie pożyczkę, ale bezzwrotną ofiarę".

Państwo jednak nie wymaga takich ofiar od wszystkich. Kto może i rozumie doniosłość chwili, niech daje ofiary. W Warszawie 9 cio letnie dziecko poszło do komendy wojskowej i 3 dni prosiło o przyjęcie do wojska, wreszcie znalazł je ojciec i bił, a wtedy chłopczyk zawołał: „Ojcze, gdybyś ty wiedział co to jest Ojczyzna, nie biłbyś mnie, ale sam poszedłbyś w jej obronie".

Ofiarność krwi nieletnich dzieci winna raz wreszcie pobudzić do ofiarności mienia tych obywateli, którzy opływają we wszystko, a jednak nie spełnili dotychczas swego obowiązku. Pewny znany powszechnie kamienicznik i kupiec krakowski, posiadający nadto majątek ziemski dał 250 000 Mp. na pożyczkę, chociaż powinien dać co najmniej 1 milion. A ilu jest takich, co nic nie dali! Tak być dalej nie może! Nie możemy budować Polski jedynie ofiarnością i poświęceniem — dzieci!

Profesor Wincenty Sikora.

Brakujące kupony przy obligacyach austryackich pożyczkach wojennych.

Na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Skarbu z dnia 27 lipca 1920 r. L. 58345, te osoby, które odcięły kupony austryackich pożyczek wojennych i następnie zagubiły je, mogą wnosić piśmienne podania do Dyrekcyi Okręgów Skarbowych o udzielenie pozwolenia na przyjmowanie na pożyczkę państwową z r. 1920 obligacyi, nie posiadających wymaganych kuponów, płatnych w terminach do 1. stycznia 1920 r. włącznie.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Jan Zając, Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda ważny moment z dziejów światowych w obecnej chwili:

```
    ■
  – ■ –
  – ■ –
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
  – ■ –
  – ■ –
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Europie południowo-wschodniej, 3. Dopływ Dunaju, 4. Miasto w Rosyi, 5. Wyspa na morzu Śródziemnem, 6. Rodzaj łodzi, 7. Znany minerał, 8. Przyrząd sportowy, 9. Zdrobniałe imię męskie, 10. Członek najbliższej rodziny, 11. Herb polski 12. Imię żeńskie, 13. Pamiętnikarz polski, 14 Roślina ogrodowa, używana jako przyprawa, 15. Część budynku, 16. Jedna ze stolic europejskich.

Okienko.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a  a  ć  e  e  .
e     e     i
l  l  m  m  n
n     o     o
r  t  t  u  u
```

Znaczenie wyrazów: 1. Jezioro w północnej Europie 2. Postać, znana z dziejów Francyi, 3. Rzeka w Europie.

Przysłowiówka.

Ułożył J. Kochanowski, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) --a--a-o--y-o-e.

2) -ie-a-e-o-a-a-a---o-o--a--o-i.

Grzebieniówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko jednego z delegatów rosyjskich na konferencyę w Londynie:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
–   –   –   –   –
```

Znaczenie wyrazów: 1. Filozof niemiecki, 2. Miara odległości, 3. Rzeka w Europie, 4. Imię męskie, 5. Jeden z żywiołów.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. B., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę miasta portowego w Europie:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Postać z dziejów rewolucyi francuskiej, 4 Miasto w Galicyi wschodniej, 5. Kanton szwajcarski, 6. Egipski bóg słońca, 7. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. B., Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a,  a,  a,  a,
a.  a,  b,  g,
l,  l,  o,  o,
p,  r,  r,  w.
```

Znaczenie wyrazów: 1. Port nad Adryatykiem, 2. Gatunek psa, 3. Masa ognisto-płynna, 4. Naród koczowniczy.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Wilczuk, Zaopane.

Do podanych liter początkowych dodać brakujące, a utworzy się znane polskie przysłowie:

K.. p.. k.. d..., k....; s.. w n.. w....!

Zgłoskówka.

Ułożył Trocki, Moskwa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich ważne zdarzenie z dni ostatnich:

Zaporoże, Gromnik, obol, koszenila, Zawichost, Kraków.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył M. Wiatr, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

b, ć, d, d, g, g, m, m, o, o, o, ó, ś, w, w.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1. W. Grabiańskiego: „Rymy i proza", 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 33.

Tajemniczy napis: Komu w drogę, temu czas.

Trójkąt magiczny: Belgrad, Edward, Lenin, gama, rad, ar, d.

Kwadrat magiczny: Numa, ugor, mora, Arab.

Okienko: Warta, Rynek, Ankus.

Logogryf: W, Ils, Oka, Soter, noc, r, Ohm, stuła, aga, o.

Zadanie do uzupełnienia:

„Młodość jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Coś jej dłuta, wiecznie trwały".

Grzebieniówka: Bari, a, Rawa, c, emir, l, ogar, n, Amor.

Przysłowiówka: 1) Wlecie, jak Piekarski na mękach, 2) Wyszedł, jak Zabłocki na mydle.

Zgłoskówka: Rokowania pokojowe.

Zadanie na rozsypane litery: Nadzieja matką głupich.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Górski Kraków, E. Müller Warszawa, H. Frasiński Bochnia, H. Gruszczyński Tarnów, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, C Kómarnicki Warszawa, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Sawicka Lwów. L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów J. Opolski Stanisławów, Z. Lisowski Warszawa, M. Wikliński Kraków, J. Majer Rzeszów, Z. Walkowski Rawa, J. Winter Biała, Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, J. Malinowski Poznań, H. Mazurkiewicz Warszawa, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, M. Stachowicz Kraków, M. Ostrowska Lwów, S. Rosenbaum Rzeszów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, K. Dębiński Jasło, M Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, W. Lasocka Kraków, K. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, J Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Grabski Jasło, H. Unger Lwów, M Waszkiewicz Lwów, M. Nowak Warszawa, H. Laskowski Piotrków, S. Krzyżanowski Łódź, S. Jazowski Nowy Sącz.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Winter Biała (książka), 2) W. Lasocka Kraków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.